

Naczelnicy wsi, należących do misyi w Bourouadou (Gwinea franc.).

ABISSYNIA I ABISSYŃCZYCY.

CZARNE KWIATY.

Różne szczegóły o Abissynii i jej mieszkańcach.

Przez O. Józefa Baetmann'a, misyonarza Lazarystę.

(Ciąg dalszy).

I.

Ogólny rzut oka na kraj.

Zanim nakreślę portrety, pozwólcie mi zaznaczyć ogólne kontury i naszkicować w paru rzutach obraz kraju, potem można będzie przedstawić mieszkańców. Abissynia, to Szwajcarya afrykańska, rozległa sieć poszarpanych gór tworzących płaskowyż, którego średnia wysokość wynosi około 2000 metrów i który służy za podstawę olbrzymim górskim wyniosłym szczytom, dosięgającym 4.500 metrów. By dotrzeć do nich, trzeba przebyć pustynię, graniczącą z morzem Czerwonem, i wspiąć się na pierwsze ogniwa płaskowzgórza. Co stanowi

główną charakterystykę kraju — to jego góry. Olbrzymie fale skamieniałego oceanu, o stokach stromych, nagich, wyschłych, niemal prostopadłych. Wyżej, wśród obłoków, widzimy szczyty piętrzące się, niby stopień po stopniu i przeszywające niebo swem wyniosłem ostrzem. Tak, góry w nieskończoność, kolosalne, a w przerwach pomiędzy niemi murawy zieleni, świergot ptaków, syk gadów, groźny pomruk drapieżców... na samym zaś dole wyschłe łoże potoku, jakby zdławione pomiędzy dwiema górami. Abissyńczycy powiadają, że gdy Pan Bóg porządkował ziemię po stworzeniu, zapomniał o Abissynii i pozostawił ją w jej pierwotnym chaosie. To się wydaje niemal prawdą. Jeżeli góry są straszne i dzikie, jak mieszkańcy, wąwozy są czasem zachwycające. Piękność położenia, groza tych mas skalnych, jakby zawieszonych w powietrzu, rozmaitość odtoków skalnych zawalających wąwóz, ciasna ścieżka, którą się posuwamy łożyskiem wyschłego potoku, wszystko to porusza duszę i budzi wiele wrażeń! Jakże czujemy się mali wobec tej przyrody miażdżącej nas swym ogromem!

Dla dokładności i zwięzłości, ograniczymy się do małego zakątka ziemi, w którym żyjemy. Wpośród gór Agamii jest wąwóz przerażająco dziki, żałobny, ponury, przeklęty!... By dotrzeć doń, trzeba przebyć wiele stoków górskich i wreszcie stanie się u tego lejka, wciśniętego między dziesięć do dwudziestu straszliwych szczytów zwieszających się nad nim. Tam to mieszka 1.600 do 1.800 ludzi dzikiego plemienia Irobi-Kokmaita; przybyli oni tam przed 60 laty z głębi Abissynii. Wyganiani zewsząd dla swego dzikiego okrucieństwa, dotarli wreszcie do niedostępnej tej krainy i osiedlili się w niej, wymordowawszy przedtem wszystkich jej mieszkańców.

Każdy cudzoziemiec, dość śmiały, by zapuścić się między nich, mógł się spodziewać, że nie wyjdzie z życiem. Ale pewnego dnia przybywa tam misyonarz, udaje mu się ułagodzić te drapieżne bestye, a dziś prawie całe pokolenie jest chrześcijańskie i katolickie. Alitiena, tak nazywa się miejscowość, gdzie przebywamy, nie jest to miasto, ani wieś. Z jednej strony kościół i cmentarz, z drugiej, na skale, nasza rezydencya: pomiędzy niemi kilka gudżi, pozatem samotnia najustronniejszej pustelni: widzi się i słyszy tylko gromady małp... a czasem okrzyk trwogi, rozlegający się od skały do skały z krzepkich, tęgich gardeł: jest to telegraf abissyński — także bez drutu. Mieszkańcy, lud pasterski, rozsiani są po wszystkich zrębach i zagłębieniach skalnych, tak, że nie widzi się nigdzie ani śladu wsi. Tam to, w następstwie okoliczności, które opowiem wam niżej, zostaliśmy wparci, oczekując z bronią u nogi, aż trąbka Boża da nam sygnał do pochodu... Ale niema chyba kraju, któryby był bardziej przerażająco piękny i bardziej dziki. Ani śladu roślinności wpośród tego natłoku głazów i skał

łupkowych! Na stokach tych zgasłych wulkanów widzi się czasem na parę stóp wysokie krzewy aloesu i kilka drzewek wątłych, karłowatych, spalonych przez codzienne pieszczoty gwiazdy dziennej. Biedne te drzewa zdają się zeschłe, popękane, prawie martwe, a nie giną jednak; jest to żywy obraz potępieńców, którzy, gorejący również, zdają się umierać z każdą chwilą i nie umierają nigdy. Oto kraj, oto matka: zobaczmy teraz mieszkające i świergocące w niej ptaki.

II.

Dzieci.

Jakież one milutkie, te małe dzieci! Aniołki, które zabłądziły na ziemię i są jakby uśmiechem Boga! Jak miło patrzeć na nie, gdy śpią w kolebce, upowite w koronki, marząc o niebie, tej swej ojczyźnie, z tym uśmiechem, właściwym niewinności, kwitnącym na ich różanych usteczkach! A wy, kochane małe Abissynięta, cóż powiem o was? Że jesteście różowe? Nie. Miłe? Zdaje się, że też nie bardzo. Bądź co bądź jesteście dziećmi i posiadacie także ten skarb niewinności i czystości w waszych oczach i na waszem czarnem czole! Kiedy dziecię przychodzi na świat, matka odgryza mu najpierw zębami kawałek lewego ucha, smaruje miodem i połyka!... Bez tej ostrożności, jak się zdaje, dzieci nie utrzymałyby się przy życiu! Poczem, śledzi się pierwsze słowo, jakie wyjdzie z ust macierzyńskich, gdyż to pierwsze słowo będzie imieniem dziecka. Dlatego to znajdujemy imiona tak dziwaczne: Groźny, Zbawca, Zbuntowany, Radość, Nadzieja, Mój Promień, Syn, Chwała, Kwiat Wiary, Jego Siła, Nadzieja Trójcy, Moja Część, Sługa Boży i t. p. Dziecko umieszcza się w jakiś czas potem w kolebce wędrownej, rodzaju worka, który matka nosi na plecach i w którym dźwiga z sobą wszędzie swe najdroższe potomstwo... Chcąc je z niego wypuścić, rozpina pasek z przodu i małe ptaszę zstępuje ze swej wyżyny w całej prostocie adamowego stroju, to jest w pięknym i niezużytym kostyumie czarnym, jakim go obdarzyła natura. Przychodzi nareszcie dzień, w którym mały Abissyńczyk znużony ciągłem przebywaniem w swem obserwatoryum, zaczyna domagać się także swej części słońca, świeżego powietrza i swobody. Wtedy zaczyna chodzić samo, rośnie i rozwija się przy jak najmniejszych, o ile możności staraniach ze strony rodziców. Większość dzieci zachowuje długo swój strój pierwotny, głowę mając ogoloną, a na czubku trzy małe splecione kosmyki; czasem także włosy rozdzielone opadają z każdej strony splecione w warkocze wokoło. Ku większej ozdobie noszą chłopcy duży kolczyk w uchu lewem, a dziewczęta w obu uszach. Czasami także uda się małym bohaterom ściągnąć jaką starą

brudną ścierkę. Wtedy, dumni niewypowiedzianie, okrywają nią nagość swoich ramion. Inna moda polega na sporządzeniu sobie ze skóry koziej kapy, osłaniającej plecy i zawiązywanej nieco poniżej podbródka. O drogie, święte dzieciństwo! O moje kochane, czarne aniołki! Moja to cząstka... Wiedzą dobrze, że je kocham i skoro mnie tylko zobaczą, wydają radośny okrzyk, skaczą wokoło mnie, jak gromadka wróbli!... Zawieszają się u każdego z mych palców, podczas gdy najmilsi zanurzają swoje małe rączęta w dużych kieszeniach mej sutanny. Wtedy rozpoczynają swą litanię: „Ojcze, daj Maryę Dziewicę (medalik), daj krzyżyk, nóż, brzytwę, różaniec..." A dziś rozbrzmiewa inna śpiewka: „Ojcze, Ojcze, litości! Głodny jestem! Chleba, chleba!..." Biedne maleństwa. Czasami zaczynam im prawić to, co św. Jan, Benjamin apostołów, mówił wiernym z Efezu: „Moje kochane dzieci, miłujcie jedne drugich, to wystarczy..." Ale im to nie wystarcza... W dziecińtswie swojem już są okrutne! Ich najmilszą zabawą jest ciskać kamieniami w biednego psa z dzikim i szatańskim błyskiem radości w oczach. Czasem także z wielkim kijem w ręku przebiegają całą bandą doliny i wąwozy, śpiewając od rana do wieczora: „Zabijajmy, zabijajmy, zabijajmy ciągle. Nigdy nie będzie dość trupów dla sępów!"

Pieśń ta w ustach dziecinnych daje wam pewne wyobrażenie o tem, czem są tu mężczyźni, wojownicy i rozbójnicy z zawodu! Oto moje małe aniołki! Czyliż nie są milutkie? Biedne duszyczki, rozwierające się kwiatki, jakże słodko jest im mówić o Tym, który stał się także małem dziecięciem — dla nich i dla nas. (C. d. n.).

KORESPONDENCYA MISYJNA.

Wikaryat apostolski Gwinei francuskiej.

O. Michał Lecler, ze Zgrom. Ojców od Ducha Świętego, pisze z Bourouadou do Generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera.

Czcigodna Pani!

Z uczuciem najżywszej wdzięczności dziękuję za łaskawy list, który otrzymałem wraz ze spisem imion chrzestnych, ale przedewszystkiem dziękuję za hojne datki, które Sodalicya św. Piotra Klawera przysłała do misyi Bourouadou.

Zanoszę przy tej sposobności gorącą prośbę do osób, które podały imiona dziewczynek, o usilne modlitwy w tym celu, abyśmy mogli przynajmniej kilka z nich ochrzcić w roku przyszłym (1910). Obecnie bowiem trudności obezwładniają nas i nie dozwalają pracować skutecznie nad odrodzeniem tych

biednych dzieci. Od najwcześniejszego dzieciństwa, a czasem przed urodzeniem jeszcze, dziewczynki te sprzedawane bywają wielożeńcom, którzy co roku ratami spłacają umówioną cenę dziewczynki. Nie jest to więc nic innego, jak sprzedawanie dziecka, którego oddanie następuje z chwilą, gdy dorasta, bez względu na to, czy skłania się do tego, lub nie. Pomiędzy temi pięćdziesięcioma, które uczęszczają pilnie na naukę katechizmu i dosyć go już umieją, jest wiele takich „obiecanych“, które bądź już w roku przyszłym (1910), bądź za dwa lub trzy lata zostaną wydane. Co się tyczy najmniejszych, a jeszcze nie „obiecanych“, to jest ich nader szczupła liczba; chcielibyśmy przynajmniej co do nich mieć pewność, iż jeżeli przypuścimy je do Chrztu św., będziemy mogli nadal zajmować się niemi i pokierować ich zamążpójściem i że rodzice nie postanowią nic co do nich, zanim nie zasięgną naszej rady. Całe owo wydawanie za mąż córek zależy wyłącznie od rodziców, dziewczyny nikt o zdanie nie pyta i musi ona, gdy dorośnie, przyjąć za męża tego, który obrał ją w jej dzieciństwie za żonę, wypłacając rodzicom sumę od 150 do 250 franków. Różnice wieku między małżonkami wydarzają się w tych wypadkach ogromne i zbyt nieproporcyonalne, tak, iż 60 lub 65-letni mężczyzna pojmuje często 16 lub 18-letnią żonę. A przecież ze strony dziewczyny nie wchodzi nigdy w grę najmniejszy opór, ani nawet próba odmowy, gdyż wie ona dobrze, iż w takim razie ona, lub ten, któryby ją pojął, lub któryś z członków jej rodziny, zniknąłby niechybnie z powierzchni ziemi, stając się ofiarą trucizny zadanej przez jednego z krewnych lub przyjaciół odrzuconego. Otrucia tego rodzaju dokonane bywają bez najmniejszej wiedzy osób, na które padnie wyrok. Zaprawia się poprostu dawką trucizny jedzenie lub napój delikwenta i to w taki sposób, by nie obudzić w nim najlżejszego podejrzenia, a więc posługując się do tego wkońcu kimś blizkim i biedna ofiara napozór bez żadnej przyczyny traci po jakimś czasie siły, apetyt, chudnie do ostatecznych granic i wkońcu umiera bez widocznej choroby. W różnorodnych wypadkach chorobowych, z którymi obeznałem się dotychczas, spotykałem sporo takich właśnie, których następnie nie omieszkałem ganić i karcić jawnie.

Nie tracę jednak ufności pomimo wszystko, nie tracą jej również moi towarzysze i w czasie katechizacyi pouczamy nasze dziewczęta, iż tego rodzaju traktowanie ich sprzeciwia się prawom Bożym i że wolno im, nie wykraczając przeciw czci winnej rodzicom, nie poddawać się losowi i położeniu, jakie im przeznaczają. Chodziłoby tu o zdobycie się na pierwszy krok, o przykład jednej z nich w tym kierunku i gdybyśmy zdołali przełamać raz ich opór, rychłoby dobry przykład znalazł naśladowniczki.



O. Lecler, C. S. Sp., uczy katechizmu. (Misya Bourouadou).

Oto dlaczego proszę osoby, które podały imiona dziewcząt, aby uprosiły dla jednej chociaż, a lepiej i dla kilku z tych katechumenek łaskę i siłę oporu, by mogły dostać się na łono Kościoła katolickiego. Jestem przekonany, iż wielu z nich nie zbywa na chęci ku temu, lecz wstrzymuje je obawa śmierci i otrucia. Z jakąż radością powiadomilibyśmy Czcig. Panią przy przesyłaniu świadectw, iż ta lub owa z naszych dziewcząt została ochrzczoną, że zmniejszyły się trudności i że za lat kilka nowa neofitka będzie w wieku odpowiednim do zamążpójścia, a tem samem do założenia chrześcijańskiej rodziny! Jedynie Bóg udzielić może tym młodym umysłom światła i siły i On jedynie zmienić może postać rzeczy. Zrobimy, co w naszej mocy, lecz niechaj osoby pobożne zechcą wspomagać nas modlitwą.

Chłopców naszych utrzymuje się wytrwale znaczna liczba i nie brak ich nigdy na nabożeństwie w niedzielę. Fotografie, które załączam do niniejszego listu, przedstawiają kolejno każdego z nas, przy katechizacyi niedzielnej, odbywającej się po Mszy św., tak zwanej parafialnej, i po krótkich nieszporach. Podzieliliśmy naszą młodzież i dzieci na trzy sekcye i przez pół godziny lub trzy kwadranse pouczamy każdą z nich, posługując się obrazkowym katechizmem „Dobrej Prasy“. Treści ustępów uczą się u siebie w domu, a z nami porównują tekst obrazów z położeniem bądź neofitów, bądź katechumenów lub już chrześcijan. Tego rodzaju nauka podoba im się wielce i nie szczędzą wysiłków, celem przyswojenia sobie przebiegu ważniejszych wypadków.

Liczna tedy każdej niedzieli zbiera się gromadka wiernych, a liczniejsza jeszcze, gdy z okazyi pewnych świąt najbardziej odległe wsie przysyłają nam swoich mieszkańców. Mają oni rzeczywiście znaczną odległość do przebieżenia, trzynaście lub czternaście kilometrów w jedną stronę składa się na porządny kawał drogi. Ze względu na tę odległość jesteśmy dla nich wyrozumiali, tem bardziej, że pozyskani dopiero od niedawna, nie posiadają dosyć energii i siły, by się oprzeć starszym, kiedy ci wzbraniają im przystępu do misyi, a przytem starsi nie godzą się zastąpić ich w czasach, gdy trzeba płoszyć ptactwo, mianowicie podczas zasiewów lub zbiorów. Musi się w istocie w kraju tym strzedz pól o wschodzie i zachodzie słońca, jeżeli się chce mieć jakiekolwiek plony, bo chmary malutkich ptasząt oblegają pola dopieroco zasianego lub dojrzewającego ryżu, czyniąc na niem straszliwe spustoszenia. Strzeżenie pól stanowi przeważnie zajęcie dzieci przez znaczną część roku, a rodzice, którzy znają nas zresztą bardzo niewiele, uważaliby sobie za ujmę zastępować swe dzieci w tej straży, aby mogły do nas przychodzić. A przecież wioski będące nas najbliżej, pozwalają a nawet posyłają od samego

początku dzieci swe do misyi, zastępując je w polach starszemi; i inne pójdą z czasem za ich przykładem.

Druga fotografia przedstawia zespół naczelników naszych gmin, zebranych na misyi; prosiliśmy, aby się schodzili w tym samym dniu, a zgromadzonym przedstawiamy nasze życzenia. Corocznie przed 14-tym lipca obdarzamy wodzów naszych sutemi, wzorzystemi i przybranemi w galony bluzami i nieco mniej krzyczącemi czapkami, aby wystąpili godnie podczas uroczystości święta narodowego. Przybrawszy ich w ten sposób, odpowiednio do ich godności, kazałem im ustawić się przed aparatem, brakowało ich, niestety, pięciu! Coroczny ten haracz kosztuje nas sporo, lecz jest środkiem zapewniającym nam przyjaźń tych wioskowych przedstawicieli władzy, skłaniając ich do naszych żądań. Są oni zdania, które zresztą wygłaszają co roku przy okazyi święta narodowego, iż Ojcowie daleko więcej czynią im dobrego, aniżeli naczelnicy powiatów i nie bez pewnej dumy zachowują się wobec innych wodzów, swych kolegów.

LEKCYA DOBROCZYNNOŚCI NA MADAGASKARZE.
(U schyłku XVIII wieku, przed wprowadzeniem Ewangelii).

Słowa króla Andrienampoinimerina, założyciela dynastyi Hova, i pierwszego doradcy tegoż, Hagamainty, wypowiedziane na zgromadzeniu wodzów i ludu w Tananarywie.

Król: Do was zwracam się bogaci: jeżeli kupujecie na targu pokaźne ćwiartki wołowego mięsa, ukrywajcie takowe przed biednymi, abyście nie podsycali ich żądzy. Nie mając bowiem możności nabycia, kusiliby się o kradzież takowych.— Wy zaś biedni, jeżeli widzicie bogatych, czyniących obfite zakupna na targu, nie chciejcie naśladować ich. Stosujcie się do środków waszych; bogaci mają środki znaczne, wy zaś szczupłe.

Doradca: Bądź błogosławiony Andrienampoinimerina, mądremi są słowa twoje. Dlatego prosimy cię, powiedz nam, czy godzi się bogatemu kupować mięso na targu, czy nie?

Król: Jeżeliby bogaci nie kupowali mięsa, jakżeby utrzymala się rzeźnia? Tedy, jak wam już powiedziałem, ukrywajcie kupioną ćwiartkę, nie ukazując jej. Jeśli się zaś zdarza, iż biedny przed wami przystępuje do rzeźnika, nie popychajcie go, lecz zatrzymajcie się, godzi się bowiem, iżby był usłużony przed wami. Zalecam wam jeszcze, wam bogaci, którzy mieszkacie w pobliżu biednych, strzeżcie, aby powonienia ich nie dochodziła woń smażonego mięsa. Wiele to, iż tak ubodzy ludzie godzą się na mieszkanie w pobliżu was.

Doradca: Lecz kupując mięso wołowe pokryjomu, jakże zataić zdołamy woń jego? Zdradzi nas pełny rondel dymiący na ognisku.

Król: Wyśmienicie! W takim razie podzielcie się pieczystem, a nie spożywajcie go sami. Niechaj i biednym dostanie się cząstka. Dodacie im przez to również bodźca do tem wydatniejszej pracy.

Doradca: Zaprosimy ich tedy, jeżeli zechcą przychodzić do nas.

Król: Oto zaiste mowa bogatego! Jeżeli nie zechcą przybywać do ciebie z obawy lub nieświadomości, zanieś im część dla nich przeznaczoną.

Doradca: O biedni nie są znowu tak bardzo nieśmiali!

Król: Jakże niemądrym jesteś! Czy nie widzisz, jak biedny usuwa się, gdy przechodzisz, a drży, gdy przemawiasz? Czyżby więc nie zawahał się przestąpić progu twojego? Nawołuję was, miejcież litość nad biednymi!

(Słysząc te słowa królewskie, wszyscy obecni pochylają głowy).

Doradca: Andrienampoinimerina, niechaj spływają na ciebie coraz obficiej wszelkie błogosławieństwa! Co do mnie, zaniecham obchodzenia się z biednymi na sposób „vazaha“ (europejski), lecz przeciwnie, daję na to słowo moje, iż my, naczelnicy ludu, opiekę roztaczać będziemy zarówno nad biednymi, jak nad bogatymi. Nie wzgardzimy potrzebującym i sierotą, lecz przeciwnie, zaspokajać będziemy ich braki. Na targu obdarzymy ich hojnie, a w domach naszych obfitą część pieczystego i ryżu mieć będą. Zaufaj nam, nie zginą z nędzy u drzwi naszych. Czyż nie jesteśmy ojcami biednych i sierot?

(Przekład z „Tantarany“ Andriana przez O. Callet'a T. J.).

Drobne wiadomości misyjne.

Assaba. Siostra Cadagnera pisze, iż z okazyi ostatniego święta Bożego Ciała przeszło 200 osób przystąpiło do Stołu Pańskiego, a przeszło 500 towarzyszyło z oznakami czci Najśw. Sakramentowi w czasie procesyi. Misya ta jest jednak bardzo ubogą. Dzwon, w braku dzwonnicy, kołysze się na drzewie! Brak również przyborów kościelnych. Przytułek za szczupły, ażeby pomieścić wszystkich biedaków opuszczonych. Niema nawet cysterny, w którejby się gromadziła woda deszczowa potrzebna do picia, gotowania i t. p. Pomimo całej tej nędzy pragną misyonarze (z Lyonu) założyć nową placówkę w Utabie, mieście o 15.000 mieszkańców, odległem o trzy dni drogi od Assaby, w którem „Dobra Nowina“ nie była jeszcze nigdy głoszoną.

Shimbiraleh. W. O. Szczepan, Kapucyn, pisze:

„Misya somalska w chwili obecnej, wymaga szczególnej opieki Bożej. Fanatyczni wrogowie nasi,

obiecują sobie bardziej, niż kiedykolwiek, iż uda im się wypędzić nas z Dżungli. Rzeczywiście, nie wiele możemy się spodziewać od ludzi! W zeszłym tygodniu oświadczył mi konsul generalny, iż będąc zmuszonym liczyć się ze skargami muzułmanów nie może nas popierać i że zresztą Anglia bardzo prawdopodobnie usunie się z kraju Somali, zatrzymując jedynie Wybrzeże. Obawiam się, iż w tych okolicznościach musielibyśmy się wyrzec ewangelizacyi Somalisów. Oby miłosierdzie Boże nie odwróciło się od tych biednych dzikich!"

X. Biskup Hummel, Wikaryusz ap. Złotego Wybrzeża, udziela nam następujących nowin:

„Mały kościółek w Chamie, poświęcony został czci Najśw. Panny Maryi Wniebowziętej. Katolicy nasi z Cape-Coast, z Elminy, z Ajuah i z wsi okolicznych, stawili się wszyscy w Chamie na tę uroczystość. Krajowcy spisują się nad wyraz dzielnie i pracują własnemi rękami nad wznoszeniem budynków, ku wielkiemu zdziwieniu naszych przeciwników.

Udałem się w marcu 1908 r. do Acry, korzystając z niejednokrotnych zaprosin gubernatora. Traktował mnie z niezmierną dobrocią i okazał wiele względów. Dzięki jemu otrzymałem obszerny grunt pod budowę nowej misyi. Miasto Acra ma wielką przed sobą przyszłość, buduje kolej, port zaś jest już na ukończeniu i niezadługo przeniesie się cały ruch kolonii w jego strony. Mamy tutaj przeszło 100 katolików.

Ośmielam się polecić Pani sprawę ufundowania misyi Najśw. Serca w Acra. Pragnąłbym, aby Boskie Serce Jezusa wzięło w posiadanie stolicę tej kolonii, rozsiewając stamtąd na nią Swe błogosławieństwa."

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Rzym. *Dnia 30 października.* — Odwiedziny apostolskiego Prefekta z Uélé w Kongo belgijskiem, Msgra Derixa, z zakonu Premonstratenzów. Ku wielkiemu żalowi nie zastał jeszcze naszej Gener. kierowniczki. Zwiedzając szczegółowo nasze muzeum afrykańskie, udzielił nam J. Ekscellencya interesujących szczegółów co do niektórych przedmiotów.

Około godziny 8 wieczorem nadeszła wreszcie upragniona chwila powrotu Gener. kierowniczki. Z najgorętszem uczuciem dziękujemy Panu Bogu za to, że raczył ją łaską Swoją ochraniać wśród licznych wędrówek ostatniego lata i dozwolił jej szczęśliwie powrócić do nas, do nowej a bezustannej pracy dla chwały Bożej i zbawienia dusz!

Filia w Tryeście. — *Od dnia 12 do 28 października* zatrzymała się Gener. kierowniczka w tutejszej filii. W czasie tym przyjął ją JE. X. Biskup Nagl kilkakrotnie na audyencyi, interesując się zawsze gorliwie rozwojem filii w Tryeście.

Dnia 20 października odbyło się liczne zebranie zelatorek. Dr. Mioni wygłosił ognistą przemowę na temat: „Pozyskiwanie Panu Bogu dusz w Afryce — jako dzieło wynagrodzenia i ekspiacyi za to, czem się dziś w Europie Wiarę świętą znieważa" (skandal z powodu Ferrera — szczególnie we Włoszech — ale

i w Tryeście także; grożono tu podpaleniem kościoła Najśw. Serca Jezusowego, który wznoszą OO. Jezuici, wybito szyby ich kaplicy, a na domu, gdzie się mieści nasza filia, zerwano tabliczkę z firmą „Echa z Afryki“ z pod okna pokoju, który zajmowała Gener. kierowniczka). Po odczycie Dra Mioni'ego nastąpiło przemówienie Gener. kierowniczki, która nie szczędziła praktycznych wskazówek, mogących tchnąć nowy polot w życie filii. Na jej życzenie utworzył się komitet do działania na zewnątrz z Drem Mioni'm i wypróbowanemi przyjaciółkami Sodalicyi pp. A. Sbrovazzi i L. Birti na czele.

Komitet ten jednak rozpocznie swoje działanie dopiero wtedy, gdy dotychczasowa siedziba filii zostanie zmieniona. Od lutego przeniesie się filia do śródmieścia (na ul. dell' Annunziata 1) i jest nadzieja, że tam będzie większa możność działania.

Biuro ekspedycyjne w Lublanie. Z Tryestu odwiedziła Gener. kierowniczka biuro w Lublanie w dniach od 20 do 22 października. SS. Urszulanki podejmowały Gener. kierowniczkę i jej sekretarkę w ciągu tych dni z największą dobrocią i oznakami życzliwości dla ich dzieła.

Dnia 20 października wygłosiła Gener. kierowniczka w sali Stowarzyszenia św. Józefa odczyt dla czterech Sodalicyi Maryańskich z Lublany, które się nań licznie stawiły. Następnego dnia audyencya u X. Biskupa Jeglica. Tegoż dnia wieczorem przemówienie do pensyonarek u SS. Urszulanek, które wywołało wiele zapału i dużo rzewnych ofiar.

Dnia 22 października rano powrót do Tryestu. — Celem pobytu w Lublanie było przeniesienie całej słoweńskiej administracyi z Tryestu do Lublany i zapoczątkowanie tamże słoweńskiej filii, która się okazuje coraz potrzebniejszą. Oby Pan Bóg raczył pobłogosławić temu przedsięwzięciu.

Filia we Wrocławiu. *Dnia 21 października* podjęto znowu zebrania miesięczne zelatorek pod przewodnictwem X. Prof. Hoffmanna w sali klasztoru św. Jadwigi.

Filia w Krakowie. *Dnia 14 grudnia* zebranie miesięczne zelatorek i przemówienie Wiel. O. J. Rejowicza T. J., który po dłuższej przerwie przemówił znowu w gorących i zapalających słowach,

Z WIADOMOŚCI BIEŻĄCYCH.

Były przełożony misyi w Kenia, W. O. Perlo, którego Ojciec św. mianował Wikaryuszem apostolskim Keni, otrzymał w Turynie dnia 28 października święcenia biskupie.

Tego samego dnia otwarto i poświęcono w Turynie nowy dom Misyonarzy de la Consolata.

ODCINEK.

WIGILIA BOŻEGO NARODZENIA.

DRAMAT W TRZECH AKTACH PRZEZ M. T. LEDÓCHOWSKĄ.

OSOBY:

Jerzy Różycki, urzędnik.
Anna Różycka, jego żona.
Róża, | ich dzieci.
Karol, | ich dzieci.
Marychna, | ich dzieci.
Staś, | ich dzieci.
Henryk Różycki, syn przybrany p. Różyckiego.
Ludwika, pokojówka.
Katarzyna, kucharka.
Listonosz.
Kierowniczka jednej z filii Sodalicyi św. Piotra Klawera.
Anna, Marya, pomocnice tejże.
Misyonarz.
Piotr, chłopiec murzyński.
Żołnierz
Trzech chłopców.
Baronowa von Cimperlich.
Jej towarzyszka.
Biedna kobieta.
Lokaj.

AKT PIERWSZY.

Skromnie umeblowana jadalnia, której drzwi środkowe wiodą do przedpokoju. — Na prawo i lewo drzwi.

SCENA I.

LUDWIKA. — LISTONOSZ.

Ludwika *(woła za wychodzącym listonoszem).* Panie listonoszu! Proszę jeszcze na chwilkę! Oto czasopismo nie do nas; to do pani Huberowej z trzeciego piętra.

Listonosz *(staje we drzwiach obładowany listami i gazetami).* Nie mam czasu gramolić się znowu na trzecie piętro. Niech panna przechowa pisemko aż powrócę. Nie wielkie nieszczęście!

SCENA II.

LUDWIKA *(sama).*

Ludwika. A pewnie, że nieszczęście nie wielkie. Ciekawam co prawda troszeczkę, co też stara pani Huberowa czytuje. *(Wyciąga ostrożnie czasopismo z pod opaski, rozkłada takowe i czyta):* „Echo z Afryki, pismo miesięczne dla poparcia misyj katolickich w Afryce.“ Ależ to coś zajmującego, coś specyalnie dla mnie. *(Przerzuca zeszyt).*

Uwaga. Scenom katolickich stowarzyszeń zezwala się na przedstawianie tego utworu. Uprasza się jednak uwiadomić o tem poprzednio autorkę, lub ewentualnie donieść jej o przebiegu przedstawienia.
Adres: *Hr. Ledóchowska, Rzym, Olmata 16.*

Rzecz dziwna! Prenumeruję tyle pism traktujących o Afryce: „Niezapominajkę“, „Gwiazdę murzynów“, „Posłańca misyjnego św. Józefa“, a to „Echo“ nigdy do tej pory nie wpadło mi w ręce! Doprawdy, że zawsze się czegoś jeszcze dowiedzieć można, o czem się nie wiedziało! Muszę sobie to pisemko lepiej obejrzeć. *(Ogląda obrazki).* Afryka — ulubiony mój przedmiot, Ojciec Beyzym za swojej szczęśliwej bytności mówił nam o niej. To jest misyonarz! Ten to umi wlewać w serca miłość dla Afryki! To też niejeden z moich oszczędzonych groszy powędrował odtąd do zakrystyi Ojców Jezuitów, dla biednych murzynów, a skoro mogę mówić lub czytać o Afryce, to tak jakbym mówiła o drugiej mojej ojczyźnie. Państwa moich co prawda nie bardzo to obchodzi, bo nie pojmują, o co chodzi, ale za to dzieciom naszym naopowiadam się dowoli! A jak one chętnie słuchają starej Ludwiki! Nawet panna Róża przysiada się z chęcią wtedy do nas i każe sobie przeczytać jakie sprawozdanie jednego z Misyonarzy lub Sióstr misyjnych. Aż błyszczą wtedy słodkie jej oczy zajęciem i radością. Wogóle rzadka to panienka ta panna Róża! Taka młoda, taka ładna, a taka już stateczna. Ale prawda, czas mi iść do kuchni dopilnować rozkazów wielmożnej pani. Dzisiaj będzie kolacya o szóstej, a potem zaświeci się drzewko. I puncz też będzie! Domyślam ja bo się czegoś! Czy też to nie zaręczyny prorokują te wszystkie przygotowania? Państwo takie jakieś tajemnicze! Hm! Wieczór wigilijny — dniem zaręczyn! Jakże to śpiewają dzisiejszej nocy aniołkowie? Pokój na ziemi ludziom dobrej woli! No, a w małżeństwie podwójnie trzeba tej dobrej woli — gdyż inaczej — żegnaj pokoju! Od głodu, ognia i małżeństwa, zachowaj nas, o Panie! *(Czyni znak krzyża św. — Słychać dzwonek).* To wielmożna pani z panną Różą i panem Maksem wracają ze ślizgawki. Dzieci wrócą zapewne później. A może już rozstrzygnęły się losy?... *(Wychodzi pośpiesznie przez drzwi środkowe. Zaraz potem wchodzą przez nie pani Różycka i Henryk).*

SCENA III.

HENRYK. — PANI RÓŻYCKA.

Henryk *(wzruszony całuje rękę p. Różyckiej).* Dziękuję pani za łaskawe przyzwolenie. Proszę przyjąć wzamian słowo człowieka głęboko kochającego jej dziecko, który za najświętszy swój obowiązek uważać będzie uszczęśliwienie córki pani.

Pani Różycka. Wierzę ci, Henryku. Nikomu też chętniej, jak tobie, nie oddałabym naszego skarbu, naszej Róży. Szlachetny twój charakter, a nadewszystko głęboko ugruntowane religijne zasady są mi najpewniejszą poręką jej szczęścia. Zatrzymaj się tutaj chwilkę, a ja przyślę ci Rózię i nie wątpię, że przychylną da ci odpowiedź.

Henryk. Gdybym dzielić mógł pewność pani! Przy naszem wczorajszem powitaniu była Róża tak oziębłą dla mnie, jak nigdy dotąd, a dzisiaj na ślizgawce omijała tak zręcznie wszelką sposobność spotkania się ze mną.

Pani Różycka. Dobre to jedynie wróżby, Henryku! Zwykłe dziewczęce fochy! Znamy to. Ja, jako matka, wiedziałabym przedewszystkiem, gdyby Róża już komu innemu oddała swe serce. Mogę cię zapewnić, że nigdy nie zajęła się żywiej żadnym innym mężczyzną, a ty, Henryku, byłeś zawsze ukochanym towarzyszem jej lat dziecinnych. Jakżeby odrzucić mogła tak pożądany i z wolą rodziców zgodny związek? O tem mowy niema! Przekonaj się sam zresztą. Więcej odwagi i otuchy — synu mój! *(Wychodzi bocznemi drzwiami).*

SCENA IV.

HENRYK *(sam)*.

Henryk. A jednak... boję się nadchodzącej chwili. Sam nie wiem dlaczego. Wstydź się Henryku, grad kul mniejby cię zatrważał, aniżeli to spotkanie z ukochaną istotą.

SCENA V.

HENRYK. — RÓŻA.

Róża. Powiedziała mi mama, że pan życzy sobie pomówić ze mną.

Henryk *(przykro zdziwiony)*. Życzy sobie -- pomówić ze mną? Dlaczego pani mówi do mnie takim tonem, panno Różo? Czyż tak wiele zmieniło się między nami przez te cztery lata, które spędzić musiałem w odległej stronie świata, by zapewnić sobie przyszłość? Jako studencikowi, przyjacielowi pierwszych lat dziecinnych okazywała Rózia nieraz i bez niewolenia jej, wiele względów, gdy wakacye świąteczne sprowadzały go pod dach przybranych rodziców. Sądziłem, iż obecnie przyjechałem również na wakacye — droga Różo!

Róża. I dlaczego miałby pan sądzić inaczej? Zarobił pan na nie ciężej, aniżeli na wszystkie poprzednie.

Henryk. Żem z trudem na nie zarobił, nie myli się pani. Lecz któż pomni dźwiganego ciężaru, kto żałuje przelanego potu wobec blizkiej chwili zapłaty? Różo! sama myśl o tej chwili, która była mi w przeciągu tych długich lat czterech dźwignią i pomagała mi nosić brzemię trudów codziennych; czyniła ze mnie atletę biegnącego do oznaczonej mety. Czyż jestem obecnie u celu?

Róża. Pan mnie o to pyta?

Henryk. I kogóż innego miałbym zapytywać o to? O, chciej mnie pani zrozumieć nareszcie! Czy pamiętasz długie, zimowe wieczory, spędzane przy tym oto stole? Po wieczerzy zbierała Ludwika naczynie, rodzice udawali się do siebie, wtedy ja zasiadałem do cytry i wygrywałem tęskne piosenki, a pani — pani siedziała obok mnie, opierała nieraz swą krętą główkę na mojem ramieniu i słuchała. A gdy znużyło panią słuchanie, wtedy siedliśmy obok siebie na kanapce koło pieca i gawędzili, tak jest, gawędziliśmy — a o czem? Czy ty pamiętasz o czem, Różo? A więc o tem, że gdy skończę gimnazyum, udam się do dalekich Indyi, by tam popróbować szczęścia i powrócić bogatym człowiekiem, tak, módz tutaj założyć warsztat pracy. A wtedy pani, droga Różo....

Róża *(przerywając mu)*. Sny dziecinne — rojenia niewinne! Niechże ich pan nie wskrzesza!

Henryk. Nie są to bynajmniej dziecinne igraszki, Różo! Już wówczas myślałem poważnie o tem, o czem poważnie mówię obecnie. O, Różo! Wszystko to, cośmy wspólnie układali, spełniło się, co do joty! Pobłogosławił Bóg mojej pracy i oto powracam z zapewnioną przyszłością, mogąc z czystem sumieniem myśleć o założeniu własnej rodziny. Pozwól — niechaj urzeczywistni się i epilog naszych snów młodzieńczych! Pomyśl — dzisiaj wieczór wigilijny Zajaśnieje niedługo w blasku świeczek boże drzewko, tak, jak jaśniało za dobrych dawnych czasów naszego dzieciństwa. O, pozwól! niechaj i mnie będzie jasno, niechaj światło małych świeczek rozświeci wnętrze kochającego serca. Powiedz *tak,* powiedz, jak niegdyś mówiłaś — że chcesz być moją! Błaga cię o to człowiek, który względem ciebie najszlachetniejsze jedynie żywi uczucie!

Róża *(wzruszona)*. Nie wątpię o tem, Henryku. A jednak — nie mogę!

Henryk *(zdumiony)*. Nie możesz? Czy przybywam za późno?

Róża *(powoli)*. Tak jest.

Henryk. Za późno! Okrutne słowo! Ja tego nie przeniosę! A przed chwilą jeszcze zapewniała mnie twoja matka, żeś nigdy żadnym innym nie zajęła się mężczyzną! Czyżbyś i matkę twoją....

Róża *(przerywając mu — z dumą)*. Oszukała — chciałeś powiedzieć. Nie, Henryku, ja nie oszukałam nikogo, ani moich rodziców, ani ciebie. Lecz prawdą jest, że zapukał do mego serca ktoś, kto nie jest człowiekiem w znaczeniu nadawanem przez ciebie, a jednak przybrał On postać ludzką, by módz dla nas cierpieć i umierać. Usłyszałam wołanie Jego, a wołaniu temu nikomu oprzeć się nie wolno.

Chce On posiąść wyłącznie serce moje, a ja przyrzekłam Mu wierność aż do zgonu. Oto masz moje zeznanie.

Henryk *(padł podczas ostatnich słów Róży na kolana i objąwszy dłońmi głowę, płacze gorzko).* Głosowi temu — nikomu oprzeć się — nie wolno. Wierność przyrzekłaś — aż do zgonu. — Czy być może? O, Boże! Czego Ty odemnie zażądałeś? — *(Powstaje gwałtownie, mówiąc z goryczą).* Różo, postąpiłaś ze mną okrutnie!

Róża. Okrutnie?

Henryk. Czy nie miałem na to dostatecznych dowodów, że sprzyjasz mi tak, jak żadnemu innemu? Czyś nie układała wraz ze mną planów przyszłości? Czyś nie....

Róża *(rumieniąc się).* Tak było w istocie, dopókim nie pojmowała rzeczy głębiej i jaśniej, Henryku. Lecz widzisz, nie sprzyjałam ci nigdy inaczej, jak się sprzyja bratu dobremu, najulubieńszemu bratu! A od dnia pierwszej mojej Komunii świętej, serce moje należało już wyłącznie do Niego, do Jezusa mojego. Nie bądź niedorzecznym, Henryku! Nie mogę dać ci tego, czego odemnie żądasz, gdyż nie zapewniłoby szczęścia ani mnie, ani tobie, gdybym, powodując się litością, sprzeniewierzyła się Mistrzowi mojemu i Panu!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których w lutym dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Dnia 2 lutego w uroczystość Oczyszczenia Matki Boskiej.

Dnia 25 lutego w uroczystość św. Macieja, Apostoła.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

Zamknięcie redakcyi 1 stycznia 1910.

Wydawca: Sodalicya św. Piotra Klawera.
Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu."